

Utforum

miodowe lata

kwiecień 2001

Na wstępie

Pragnę podzielić się moimi wrażeniami z ostatniego koncertu, jakim nasza orkiestra szkolna i dyplomanci ożywił Studio Koncertowe PR im. Witolda Lutosławskiego. Wrażeń miałam dużo i różnorodnych, bowiem byłam na tym koncercie zarówno słuchaczem, jak i wykonawcą. Miejscami te wrażenia się mocno ścierały, czasem rozbiegały... zaskakujące.

Wygląda na to, że generalnie publiczność woli duże, symfoniczne składy, niezależnie od jakości wykonania. Dziwne. Nam, orkiestrowiczom, lepiej się gra w kameralnych zespołach. Praca idzie szybciej, jest efektywniejsza, każdy czuje się potrzebny, a ponadto siedzi bliżej dyrygenta – musi na pewno umieć, a nie to, że przyjdzie, usiądzie w ostatnim pulpicie, zamacha smyczkiem lub czym też tam ma i pójdzie do domu. (Oooo... Jakie długi zdanie stworzyłam. A może by tak gdzieś w środku kropkę postawić? Nie, co tam...) Po prostu czuję się muzykę. Lepiej można ocenić (i docenić) wysiłek dyrygenta, dyrygent ma szansę poznać indywidualne możliwości i umiejętności każdego z instrumentalistów. Żadnej masówki i anonimowości. A dodatkowo, w czasie gdy gra inny mały skład... reszta ma... wolne. Kto by małych zespołów nie lubił?

Przez całą pierwszą część naszego koncertu widownia czekała na „Coś”. Bo na koncercie Dużej Szkoły małe składy to chyba tylko preludium do Czegoś Większego, nieprawdaż? Wadą koncertów dyplomantów są, moim zdaniem, dziwacznie dobrane utwory. Tym razem na przykład mieliśmy do czynienia na początku z *Credo* Antonio Vivaldiego. Utwór barokowy, sakralny, na chór mieszany i orkiestrę kameralną. Wszystko bardzo pięknie. Dzięki epoce, w której powstał, pasował do następnego – *Suity* J.S. Bacha na flet i zespół kameralny (Tylko składami te utwory nieco zbyt mocno się różniły...). Ale tak naprawdę harmonia w programie to rzadkie zjawisko. Na następny utwór, *Koncert na małą orkiestrę i wielki skład perkusyjny* Dariusza Milhauda, nikt zupełnie nie był przygotowany. Ze słodkich, barokowych brzmień fletu produkowanych przez Renatę Baszun (szkoda, że zamiast Bacha nie zagrała któregoś ze swoich utworów. Dopiero zrobiłaby furrorę!) nie pozostało nic. Świetny i fantastycznie przez Pawła Maruszaka wykonany koncert Milhauda do Bacha i Vivaldiego miał się jak kwiatek do kożucha. Może czymś celem było wywołanie wstrząsu u publiki przez podkreślenie gałki z napisem „energia”? Jestem jednak świadoma faktu, że układ programu jest zależny także (o ile nie głównie) od wykorzystywanych instrumentów. Po przerwie na scenę wkroczyła śpiewaczka, Anna Błaszkiwicz. Co za głos! A co za kreacja! Co za maniery! Kto w tej piękności ze starannie ułożonymi puklami spływającymi na dekolt bordo jedwabnej sukni poznałby „codzienną” dziewczynę w okularach, z długim warkoczem... Na scenie zamieniła się w... prawdziwą gwiazdę! Oby tak dalej. Po zaśpiewanych przez nią ariach i recytatywie, na scenę wkroczył Tomek Pokrzywiński. Pewne podobieństwo charakterów czy też pokrewieństwo utworów Pucciniego i Saint-Saensa dodatkowo pomogło jego wspaniałemu wykonawstwu i odniósł on wielki sukces. A jak już słuchacze nacieszyli się widokiem i brzmieniem naszych dyplomantów, nadszedł finał. Wystąpiła orkiestra solo w utworze Stanisława Moniuszki pt.: „Bajka”. I zagrała naprawdę dobrze! Już mi się marzy koncert jesienny w FN, gdy ta sama „Bajka” dojrzeje i nabierze patyny, może jakiejś bajkowej tajemniczości... O ile wiem, na publiczności największe wrażenie sprawiły koła „machane” w powietrzu przez pana prof. Wajraka (Ale kondycja!) – może jesienią nasza gra też będzie impresjonująca.

Czy to dobrze pisać (dobrze) o koncercie, w którego lwiej części samemu się grało? Pewnie nie, ale u nas, w „Utforum”, wszystko jest możliwe (Jak widać.)

Paulina Kość

W numerze m.in.:

- Refleksje po koncercie dyplomantów w Studiu S-1
- Sentymenty bufetowe
- Dalsze rozważania o orkiestrze
- Galeria portretów Miodowych



Oto Lech Furdyna,
Laureat I Nagrody
w chwili po ogłoszeniu
wyników konkursu w Rouen
pod Paryżem

Sentymenty bufetowe czyli co zachowamy w pamięci

Bogate, kawowo-frytkowe zapachy dobiegające z naszego szkolnego bufetu świadczą o szerokiej gamie przygotowywanych tam dań. Szybki rzut oka na półkę - można dostać oczopląsu od wafelkowych feerii barw i różnorodności soczków. Wywieszony menu - zawsze co najmniej dwa dania, nie licząc sałatek, zup, frytek itp. A ciastka i kanapki? Tylko wybierać.

Czy zostanie mi na stare lata jakieś szczególne wspomnienie naszego bufetu? Nie wiem, teraz nie potrafię określić jakiejś jego szczególnej, charakterystycznej cechy - we wszystkich barach można spotkać te same batoniki i te same napoje, frytki tak samo proste, niekarbowane... Marzą mi się jeszcze ciepłe domowe drożdżówki i francuskie ciastka ze śliwką, lukrowane zygzakiem, o których z taką miłością opowiadają ci, którzy znali nasz bufet z czasów, gdy mieścił się jeszcze na parterze, tam gdzie teraz jest xero.



Tak, powrót francuskich ciastek mógłby ucieszyć, to prawda, ale chyba nie to zaważy w sprawie atrakcyjności naszego bufetu. Bardziej od bogactwa menu cenny jest uśmiech obsługujących nas pań, ich codzienny dowcip i życzliwość, atrakcyjność cen, które nie straszą i nie wyganiają nas na zakupy gdzieś hen, poza szkołę, a także to, że te wszystkie atuty przyciągają nas wszystkich do tego miejsca, dzięki czemu zawsze wiadomo, gdzie można spotkać kumpli albo zagubionych nauczycieli. Takie sceny, jak ta ze zdjęcia czyli bufet bez ludzi to właściwie kuriozum. I dobrze.

Felix

Trzy wiolonczele, indyk i fasolka: Obiad na „Małej Miodowej”

Jakiś czas temu zdradziłam nasz „miodowy” bufet i udałam się na obiad do szkoły naprzeciwno. Doszły mnie bowiem słuchy o przepysznych tamtejszych obiadach i (co najważniejsze) o przystojnych mężczyznach ze szkoły teatralnej... Usiadłam przy jednym ze stolików i oddałam się spożywaniu zupy ogórkowej. W pewnej chwili podeszła do mnie jedna z nauczycielek i zapytała, czy mogłoby usiąść ze mną dwóch chłopców z pierwszej klasy, bo nie ma już wolnych miejsc. Oczywiście, zgodziłam się, a nauczycielka powiedziała do nich cicho: „Tylko nie przynieście mi wstydu!”. Pomyślałam, że fajnie byłoby z nimi porozmawiać, więc zapytałam po prostu:

- Jak macie na imię?
- *Ja Bartek, a on Kamil.*
- A na czym gracie?
- *Jak to na czym? Wiadomo, że na wiolonczelach!*

I tu usłyszałam długą historię o tym, jak to Bartek był „uzdolniony” i rodzice chcieli, żeby grał na wiolonczeli... Kamil natomiast umiał „ładnie śpiewać”, więc wiolonczela była odpowiednia (?!).

- *A pani na czym gra?*
- Nie pani, tylko Agata. Sami zgadnijcie, na czym gram, ale pewnie i tak się wam nie uda.

- *A, to ja już wiem na czym pani...yyyy...na czym grasz, skoro mówisz, że nie zgadniemy. Na pewno grasz na... no, jak jej tam... na harfie! Tak. Na pewno. Wyglądasz jak harfistka.*

No ładnie, ośmiolatek po prostu zwałił mnie z nóg (na których w tamtym momencie na szczęście nie stałam).

- *Taaak?* - zapytałam - A jak w takim razie wyglądają harfistki?

- *No właśnie tak jak ty.*

- *Ciekawe...*

Naszą konwersację przerwała nauczycielka podająca Młodym Wiolonczelistom drugie danie (indyk, ziemniaki, fasolka szparagowa i kompot). Oni jednak dalej drażyli temat:

- *A co pani będzie potem robić? Przecież w Filharmonii jest już harfistka! Nie tak łatwo znajdzie pani pracę...*

- *Tak, Kamil dobrze mówi. Moi rodzice pracują w Filharmonii i też tak mówią. Niepotrzebnie wybrała pani sobie taki instrument. Nie – ma – to – jak – wio – lon – cze – la... (słysząc było śmiech Wiolonczelisty, który spowodował umiejscowienie jegbo przeżutego mięsa na moim talerzu. Blee!!!)*

Do naszego stolika podeszła jakaś mała dziewczynka i zapytała: „O czym rozmawiacie?”. Kamil odpowiedział: „O muzyce, Natałko”. Dziewczynka na to: „Wiem jedno. Swojej przyszłości z muzyką nie wiążę.” - i odeszła ze swoją porcją indyka na talerzu. Jak się okazało, była to wiolonczelistka z ich klasy.

Dryńńń!!! Zadzwonił dzwonek.

- *Musimy iść, pani Agato. Fajnie było poznać harfistkę. Ale pamiętaj: nie ma to jak wiolonczela...*

Cóż, przystojnych uczniów szkoły teatralnej nie spotkałam, ale dwóch Młodych Wiolonczelistów wystarczyło, żebyśmy polubiła obiady w szkole naprzeciwno...

la piccola arpista

Aula czy korytarz?

Sala koncertowa naszej szkoły ma dla mnie jedną podstawową wadę. Drzwi, ze wszystkich stron i zawsze otwarte...

Organy to instrument dosyć głośny, a gra na nim wymaga dużego skupienia. Trudno jest jednocześnie zapanować nad ruchami rąk i nóg, czytając nuty w różnych kluczach z co najmniej trzech pięciolinii. Lampa zapalona nad pulpitem gry oddziela organistę małym kręgiem światła od rzeczywistości, pozostawiając go sam na sam z muzyką. Trudno jest jednak skoncentrować się nad doskonaleniem warsztatu wirtuozowskiego, kiedy co jakiś czas, średnio co kilkanaście minut, muzyk jest gwałtownie odrywany ze świata muzyki poprzez inne dźwięki, które wdzierają się w tony fletów, pryncypałów i tym podobnych organowych głosów.

Te inne dźwięki to zwykle kroki poprzedzone głuchym trzaśnięciem klamki. W zależności od której strony się zbliżają, można oczekiwać różnych następstw.

Jeżeli drzwi trzasnęły z tyłu, można spodziewać się albo innego organisty, który przyszedł piętnaście minut wcześniej na swoje ćwiczenia, albo, szczególnie rano, pani Czesi, która dziarsko zacznie machać szcztoką po podłodze i przesuwając krzesła czy ustawiać pulpity. To potrafię zrozumieć. To jest jej praca. Tak samo jak moją pracą jest ćwiczenie na organach.

Gorzej jest wtedy, kiedy kroki słychać zza instrumentu i po chwili wychyla się głowa z niewinnym, głupim uśmiechem na twarzy.

- *Przepraszam, ja tylko chcę przejść do palarni. A przy okazji, masz może papierosa?*

ciąg dalszy na stronie III

ciąg dalszy ze strony II

Z kwaśną miną przerywam grę i odpowiadam po raz kolejny podczas mojej krótkiej godziny ćwiczeń, że nie palę. Potem czekam, aż kroki ucichną, zamkną się drzwi do palarni i znów zaczynam żmudne ćwiczenia.

Co innego, gdybym miał tych ćwiczeń więcej. Lecz organistów jest wielu, a sala koncertowa potrzebna jest też do innych celów – chór, orkiestra, lekcje, dyplomy. Dlatego też każde takie wyrwanie mnie z koncentracji powoduje, że kilka następnych linijek gram bez sensu i tym sposobem powoduje stratę cennych minut ćwiczeń.

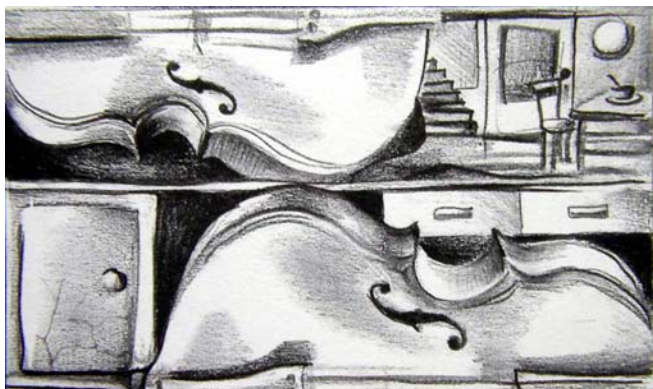
A co zrobić, jeśli nie usłyszę takowych kroków i zostaną niechcący wystraszeni jak stado myszy? Serce bije mi wtedy jak szalone przez następne dziesięć minut.

Drodzy przyjaciele po fachu! Zlitujcie się nad biednymi, zastraszone organistami. Ja wiem, że palarnia i biblioteka są w naszej szkole ważnymi miejscami dla zestresowanych artystów. Ale przecież można przejść się pierwszym piętrem, by dojść z jednego celu do drugiego, a pulpity można znaleźć także w innych salach. Pamiętajcie, że organista też człowiek, a przede wszystkim też muzyk i przechoďte przez salę koncertową tylko wtedy, kiedy naprawdę musicie...

Chewbacca

Kontra - basownia a numer jej jest 56

Żadna wszechmogąca ciocia nie śmie odmówić klucza z tym numerem. Potem już tylko dwa piętra w górę, korytarz i oto ona. Najmniej szkolne miejsce w całej szkole. Pod ścianą rząd kontrabasów, skrzynie, skromne umeblowanie po brzegi wypełnione nutami i "akcesoriami", kilka stołków kontrabasowych i krzesła podbierane z sali koncertowej. Na środku klepki porwane w sposób nieprawdopodobny - to miejsce ćwiczeń z akompaniamentem organów. Przebywając tu można wyłączyć się ze szkolnego życia, odetchnąć wszechobecną wonią denaturatu i choć na chwilę zapomnieć o kłopotach dnia powszedniego. Sterany życiem kontrabasista może wygodnie wyciągnąć się w pokrowcu i w letargu przetrzymać trudne chwile.



Niestety, życie nie zawsze jest takie różowe. Zmora kontrabasistów są wszelkie uroczystości szkolne, a także próby z co bardziej wrażliwymi pedagogami. Pełne wyrzutu: "Ja tu mam lekcję i nic nie słyszę" rzucone w głąb basowni lub korytarza boleśnie rani resztkę już i tak nadwątlonej z oczywistych względów możliwości ćwiczenia. Rozmiary instrumentów nie pozwalają na zbyt duży wybór miejsca. A pozbawiony kontrabasu kontrabasista to stworzonko wielce

niepocieszony i biedny misio. Wtedy na pociechę zostaje mu "Marcinek" lub delikatesy. Ale to już całkiem inna historia...

Alosza K.

Praca w zespole O Orkiestrze

W każdym kolejnym numerze „Utforum” znajduję artykuły dotyczące orkiestry. Ich autorzy utyskują zazwyczaj na ogromną ilość przesadnie długich prób, na sposób ich prowadzenia, na dyrygenta itp. Nierzadko są to ludzie z orkiestry. Tylko, cholera jasna, nikomu z nich nie przyjdzie do głowy, że orkiestra to o n i. I to o n i, a nie ktoś inny ma wpływ na to, jak ta orkiestra gra.

A orkiestra gra beznadziejnie. Na to, ile czasu ze sobą spędzamy, ile godzin poświęcamy na przygotowanie jednego koncertu, jest tragicznie. Tra-gicz-nie! Przecież profesjonalne orkiestry potrzebują dwóch, góra trzech prób na przygotowanie programu. No, chyba każdy z Was, Drodzy Orkiestrowicze, chciałby uchościć za PROFESJONALISTĘ, nie? Oczywiście, jesteśmy na razie w szkole średniej, ale chyba nasze umiejętności nie są równoznaczne ze stosunkiem do pracy.

„Bajkę” Moniuszki tłukliśmy dwa miesiące. OK, nie był to prosty utwór, ale – pomyślcie sami: dwa miesiące? Horror! Zresztą i tak grupa smyczkowa, a konkretnie – skrzypce (a jeszcze konkretniej – ostatnie pulpity i pierwszych, i drugich) zaczęły się uczyć swoich partii na tydzień (!!!) przed koncertem. Skandal! Najgorsze, że te osoby poczytują sobie na punkt honoru chrzanić na każdej kolejnej próbie, a im bardziej nieczysto grają, tym szerszy uśmiech błogiego zadowolenia rozlewa się na ich obliczach. Że już nie wspomnę o lekceważącej postawie podczas grania ("Plecy nie powinny dotykać oparcia krzesła!" - powiedział mi kiedyś pewien profesor...). Zdecydujemy się – to „Marcinek”, „Jazz cafe” czy próba orkiestry symfonicznej?.

Jaki więc jest sens wcześniejszych prób, skoro i tak wszyscy ćwiczą na ostatnią chwilę? Oczywiście, nie chcę generalizować, ale niestety, granie w orkiestrze to idealny przykład odpowiedzialności zbiorowej, skądinąd bardzo niesprawiedliwego zjawiska. Wystarczy, że jedna osoba się rąbnie, zagra nieczysto albo wejdzie nie w porę podczas pizzicat (wrrrr), to pracę całego zespołu szlag trafia.

Obecny system kształcenia w szkołach artystycznych robi nam wielką krzywdę. Rzecz jasna, wiele zależy od indywidualnego podejścia ucznia i nauczyciela, ale szkolne wymogi kierują nas na solistów. Każdy w skrytości duszy marzy o wielkiej karierze. W snach wychodzimy na największe i najslawniejsze sceny świata, odrzucamy niesfornie opadające włosy i z towarzyszeniem najlepszych orkiestr wmiotamy Rachmaninowy, Mozarty, Beethovena, Brahmsy, itd., itp. Burze oklasków, kwiaty, bisy, gratulacje...

W zespołach kameralnych pracujemy po to, aby zdobyć zaliczenie (czy wiecie, jak trudno jest zebrać zespół, żeby pograć ot, tak sobie, dla własnej przyjemności?). Od dużych zespołów uciekamy jak diabeł od święconej wody, zamykamy się w ćwiczeniówkach i doprowadzamy do perfekcji nasze szalenie trudne i skomplikowane solowe koncerty. Bez sensu, skoro na orkiestrze nie jesteśmy w stanie zagrać w porę i czysto przysłowiowych czterech nut na krzyż.

Wiadomo, że reformy to procesy, na które trzeba wielu lat i pewnych ograniczeń nie przeskokujemy, ale może wystarczy zmienić wewnętrzne nastawienie?

sf

Miodowi na zdjęciach

